ROK VII. 28 CZERWCA 1926 R. Nr. 22—23

HARCERZ

:::TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ:::

NA POLA.

Hej pola wy, pola, hej łany wy, łany, oto staję przed wami, jak przed skarbnicą przeszłości i przyszłości naszej, jako przed arką żywego narodu.

Czy na was spojrzę na zaraniu wiosny, wśród huku pękających lodów, wśród szumu rzek naszych, do dna mórz lecących, czyli żniw czasu stanę na waszych niwach, zbożami złotych, kłosowym szumem głośnych, czyli już jesień wymaluje bory wasze w przecudne makaty, a puszcze napełni porykiem zwierza, czyli w kipielach wód Twoich zabrodzę, czyli zabłądzą w Twych ostępach leśnych, czyli zima Twym Tatrom śnieżne hełmy wdzieje i puści wichry po czeluściach skalnych — zawsze Ty jedna, Matko, i zawsze święta i umiłowana i zawsze cała w duszy Twego ludu.

— — — — — — — — — — — — —

Tak pisała Marja Konopnicka o polach naszych i borach, o puszczach leśnych i czeluściach skalnych.

I te same myśli rodzić się muszą w sercach każdego myślącego Polaka i Polki i w Waszych sercach, Druhny i Druhowie, szczególnie teraz, gdy w czas wielkich feryj błądzić będziecie po olbrzymich przestrzeniach pól i lasów.

Pamiętacie, jak nieraz, idąc polną drogą, czy przez rozłożyste równiny, czy pośród pagórkowtej okolicy, czy też poprzez gór wierzchołki —nagle myśl wasza cofała się wstecz, do tych zamierzchłych czasów, gdy po tych samych drogach i ścieżynach przechodziły stopy przodków naszych, gdy nieraz ciągnęły tędy hufce zbrojne, a to samo słońce promieniami złotemi obejmowało ich wówczas — jak dzisiaj Was.

Pamiętacie, jak nieraz, zagłębiając się w bór prastary, wdarła się w Was nagle myśl: Co te drzewa widziały?

I popadało się wówczas w stan marzenia o tej krwawej i chwały pełnej przeszłości, i tak silnie, tak mocno czuło się, że oto ta ziemia, te pola, te lasy zaklętą w sobie dzierżą całą tajemnicę przeszłości naszej, bardziej im znaną, niż najdoskonalszym badaczom historji.

I nawiązywał się wówczas stosunek serdecznego uznania między Wami i bezkresnemi przestrzeniami i ziemi naszej i stosunek ten nabierał tem większej mocy, im dłużej, im bliżej byliście myślą z ziemią swoją.

W tych warunkach wyrosło nasze przywiązanie do ziemi. Chociaż wciąż w mieście żyjemy, chociaż nad książką, czy przy warsztacie stoimy, zawsze jednak uczucie ciągnie nas ku tej ziemi, bo ona jest

skarbnicą przeszłości i przyszłości naszej, bo ona zaklęła w siebie wieki przeszłe i niesie w sobie tajemnicę przyszłych dziejów Polski.

Nie trzeba zaś wielu słów, by przypomnieć nam, że przyszłość — ta nieznana — a każdy z nas chce— promienna, jasna przyszłość Polski i od nas także zależy i od mocy dobra, jakiem odznaczać się będzie dusza nasza, od umiłowania prawdy i ciężarów, jakie obowiązki z sobą niosą, od siły wytrwania i zdolności pokonywania opornych trudów i przeciwieństw, jaką w sobie zdołamy wyrobić.

Zaczniecie teraz, Druhny i Druhowie, święcić wakacyjne gody. Wzmocnijcie w ich czas uimłowanie ziemi naszej — ale pamiętając, że ta ziemia do końca świata będzie mieszkaniem narodu, któremu lepszą stworzyć przyszłość musi zbiorowy wysiłek, którego dolę — oby dobrą — wykuwać będą ręce każdej jednostki, tak, jak każdy poszczególny kłos, każde zdźbło trawy na polach i niwach naszych powiększa plon i nieci radość i polepsza byt tych, którzy na tej ziemi żyją.

Stańmy się wszyscy rodzajnemi kłosami, zasiewajmy wszędzie ziarna porządku, dobra i miłości—a czyńmy to z tą świadomością, iż spłacamy tylko długi pokoleń, czyńmy to, jako rzecz najbardziej naturalną — boć i my jesteśmy w kolei wieków jeno drobnemi tworami, drobnemi kółkami tej wielkiej machiny: Polski, która wtedy harmonijnem dźwięczeć będzie pieniem, gdy całość jej dobrze, harmonijnie bić będzie.

T. Uhma.

O OFIARNOŚCI.

Staszic w odezwie do sejmu w r. 1809 na pytanie: „Co się z nami stanie“, odpowiada: „to, czem się sami staniemy przez ofiarność“.

To pytanie w r. 1926, poświęconym pamięci Staszica, staje przed całym naszym narodem i jedna tylko ciśnie się na usta odpowiedź:

„To, czem się sami staniemy przez ofiarność“.

Ani to pytanie, ani ta jedyna na nie odpowiedź nie może leżeć poza sferą zainteresowań tych, którzy przyrzeczenie harcerskie na służbę Ojczyźnie składają.

Ciężko jest dziś w Polsce i mówić to sobie trzeba, nie po to, aby popadać w smutek i zwątpienie, a po to, aby rozejrzeć się, jak tego ciężaru ująć, jaką ofiarą Ojczyznę w potrzebie wesprzeć.

Nie wolno nam powtarzać sobie, żeśmy słabi i młodzi, że do pracy ofiarnej przygotowywać się trzeba, że robota na nas poczeka;—zawsze znajdzie się praca na miarę sił najmłodszych nawet, tylko poszukać jej trzeba.

Tak niedawno harcerstwo, szło ofiarnie do walki z wrogami zewnętrznymi, a dziś kiedy Polsce do jej rozkwitu i wolnego rozwoju przeszkadza wewnętrzna niezgoda, nędza fizyczna, materjalna i moralna, na którą każdy wedle sił swoich i możności ratunku szukać powinien, czyż harcerstwo ma pozostawać w tyle?

W roku poświęconym W i e l k i e-

mu Obywatelowi, którego wielkość polega na tem, że w najcięższej niedoli narodu, w sobie samym szukał sposobów jej ulżenia i stał się przez to jego największym Ofiarnikiem, hasło jego przeniknąć powinno wszystkie drużyny.

Sam był, kiedy za naród cały spłacał dług wdzięczności genjuszowi Kopernika, stawiając pomnik jego na straży pierwszej siedziby Nauki w Polsce.

Nie magnat stawiał pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, a człowiek, który całe życie, dzień po dniu od ust sobie odejmował, aby mógł groszem swoim ofiarować godny przybytek wiedzy Ojczyźnie swojej.

Sam był, kiedy zakochawszy się w skarbach ukrytych w ziemi naszej, przebiegał ją wszerz i wzdłuż, wydzierając tajemnice ukryte w jej łonie, i wdzierając się na szczyty, na których niczyja noga nie postała, odkrywał dziewicze piękno Tatr i powiększając duszę swoją, rozszerzał granice Ojczyzny swojej.

Sam był, kiedy fundacją hrubieszowską wcielał w czyn marzenie o gromadce ludu szczęśliwego, bo nikt nie dzielił z nim upajającej radości, jaką daje ofiarność.

Tajemnica wielkości Staszica leży nie w jego genjuszu czy talentach i nie w bogactwie, a w OFIARNOŚCI jego, która kazała mu życie całe, wszystkie dobra materjalne Ojczyźnie i współziomkom poświęcić.

Dziś kiedy tylu ludzi wobec ogromu nieszczęść w Polsce bezradnie ręce załamuje, wielki Obywatel z przed stu laty uczy, jak w okresie upadków i dźwigań się narodu, w dobie największych podłości i najszczytniejszego bohaterstwa można i trzeba znaleść w sobie prostą i jasną drogę ofiarnego, własnego czynu przez całe życie.

Droga to nasza, harcerska,—i my mamy dobrą wolą całem życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, tylko on był sam, a nas jest wielka, harcerska gromada. Stwórzmy własne harcerskie pogotowie społeczne, które w każdym ośrodku harcerskim obudzi ofiarność wszystkich harcerzy i harcerek, poszuka i wskaże tereny pracy kulturalno-oświatowej i obudzi czujność naszą, abyśmy ujrzeli ów bezmiar zadań i pracy w Polsce, którym nie mogą sprostać jednostki.

Uwierzmy, że stanowimy siłę twórczą, bo jesteśmy gromadą, która w prawie swojem ma mocne podstawy moralne, ma dobrą szkołę organizacyjną, a przedewszystkiem zrozumiejmy, że Ojczyzna dziś pracy naszej ofiarnej potrzebuje, i że dać ją Polsce jest dziś naszym świętym obowiązkiem.

S. Cz.

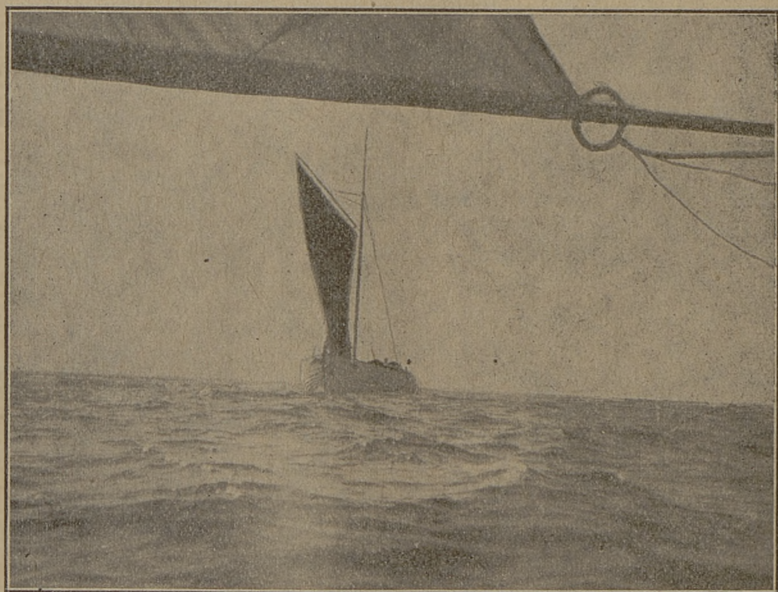
Praca społeczno-oświatowa.

Wydział Wykonawczy Starszego Harcerstwa zorganizował kurs Pracy Społecznej.

Na ostatnim wykładzie pan Stemler, Dyrektor Pol. Macierzy Szkolnej (P. M. Sz.) wskazał cele i zasady tej organizacji. Pragnę, obok krótkiej treści tego wykładu, rozwiązać zagadnienie pracy społeczno-oświatowej na terenie Harcerstwa. Co my,

harcerze mamy zdziałać, ażeby szerzyć oświatę, kulturę i uświadomienie obywatelskie?

Państwo nasze posiada jedną z najliberalniejszych Konstytucyj. Konstytucja nasza daje rozległe prawa, wkładając jednocześnie na obywatela poważne obowiązki (udział w wyborach, płacenie podatków, podporządkowanie się ustawom i t. p.).



Jakże mogą zrozumieć te obowiązki i prawa ludzie nieuświadomieni państwowo i nie umiejący czytać i pisać? W Polsce niestety jest 50% analfabetów, w Polsce jest wielu mieszkańców, ale nie wszyscy oni są obywatelami, w Polsce potrzeba Szkoły i Oświaty pozaszkolnej.

Szkołę organizuje i prowadzi państwo, lecz jest ono za biedne, zresztą niezawsze drogą ustawy można zmusić do nauki, otóż tu powinno dopomóc całe inteligentne społeczeństwo. Nie wolno bowiem nam spychać wszystkiego na rząd i twierdzić: „to oni zrobią“, „oni“ to my, naród cały. P. M. Sz. prowadzi oświatę pozaszkolną drogą kursów dla dorosłych, nauczania czwórkami i jednostkowego; ponadto zakłada bibljoteki, czytelnie, urządza wykłady, teatry i t. d.

Kursy dla dorosłych niezawsze mogą spełnić swoje zadanie ze względu na lenistwo lub fałszywy wstyd analfabetów. Pomocny tu będzie system t. zw. czwórek.

W tym celu inteligent wyszuje sobie 3 analfabetów i rozpoczyna z nimi naukę, nie systemem wykładowym, a — pogawędek. Nauczyciel (tak nazwijmy go) przy pomocy elementarza ściennego (2 zł.), książkowego (1 zł.), i konstytucji (1.75 zł.), (wszystko to można nabyć w księgarni P. M. Sz. Warszawa, Warecka Nr 15, I p.), systemem po-

gawędek uczy analfabetów i uświadamia ich, jako obywąteli. System jednostkowego nauczania polega na uczeniu i opiekowaniu się jedną osobą, częstokroć, dla wstydliwości jej uczucia, należy zachować tajemnicę.

Widzimy więc, że do pracy społeczno-oświatowej potrzeba ludzi dobrej i zdecydowanej woli, a chyba trudno zaprzeczyć, że owa pomoc to nic innego, jak użyteczność i służba ojczyźnie, którą każdy inteligentny Polak, a harcerz w szczególności, powinien podjąć i spełnić rzetelnie, częstokroć może z poświęceniem. Zdaniem mojem w programie każdej drużyny, szczególniej, — starszej, należy uwzględnić pracę społeczną, która zastąpi częstokroć nudne „ideowe" gadanie, a która będzie konkretnym czynem dobrym, będzie realizacją prawa harcerskiego.

Jakże się zabrać do pracy społecznej?

Każda drużyna, mając izbę, może zwerbować grono dziewcząt czy chłopców, potrzebujących opieki i organizacji, może urządzać obchody narodowe, wykłady, przedstawienia, zbiórki sportowe z grami harcerskiemi; ponadto drużyny żeńskie mogą pomóc w pracach ochronek, przytułkach i sierocińcach.

Rozejrzyjmy się ile można zrobić pożytecznego i dobrego, chciejmy nawiązać kontakt z tymi, którzy nie mają życzliwej rady, pomocy, a którzy częstokroć żyją ulicą, — wszak wszyscy oni wyrosną na obywateli państwa. Powinien, moim zdaniem, na terenie każdej chorągwi, obok wydziału prób, obozów, powstać także wydział pracy społecznej.

Wydział ten, poza inicjatywą poszczególnych harcerzy (rek) i drużyn powinien nawiązywać kontakt z organizacjami i osobami, pracującemi społecznie i potem odpowiednio rozdzielać pracę wśród harcerzy.

Organizacjami takiemi są: P. M. Sz. (Centrala w Warszawie Krakow. Przedm. 7 m. 4, Wydział Świetlic Koła Polek Krak. Przed. 96 i t. d. Sprobujmy to urzeczywistnić, a nasza organizacja nabierze żywszego tempa w pracy, harcerz stanie się naprawdę pożyteczny i t. zw. ideowa część programu ożywi się, nabierze barwy życiodajnej i radosnej.

Wkrótce drużyny wyruszą do obozów, które mogą odegrać niemałą rolę kulturalno-oświatową. W tym celu należy prowadzić z mieszkańcami wsi rozmowy oświatowe, urządzać wykłady popularne i pogadanki, czytania zbiorowe, zebrania, zabawy i wieczornice oświatowe, chóry; można urządzić także radjo.

Jest to praca niewątpliwie trudna, a wszak obóz ma być pewnego rodzaju wypoczynkiem po trudach roku szkolnego. Tak to prawda, ale prawdą niezbędną jest, że Polska jeszcze nie ma prawa na odpoczynek; trzeba wiele pracy nad sobą i otoczeniem, ażeby podnieść byt moralny i ekonomiczny narodu.

Trudno w krótkim artykule ująć niezmiernie aktualne i ważne zagadnienie pracy społeczno-oświatowej, ale niechże te słowa będą pobudką do inicjatywy i czynu.

Piszcie — Druhny i Druhowie — do „Harcerza" na ten temat, niech nastąpi wymiana zdań, a może potrzebny okaże się kurs pracy społecznej; wszystko, wiele można zrobić tylko potrzeba nam inicjatywy, chęci i do pracy.

Olgierd Zacharzewski.

ZYGMUNT LORENTOWICZ

Legenda o modraku:

Błękitnej Krysi poświęcam.

Pewnego dnia wyszła Najświętsza Panienka w pole z Jezusem maleńkim na ręku.

A był to złoty czas żniw.

Matka Boża, posadziwszy Dzieciątko na zielonej miedzy, odeszła, aby pomagać znajomej niewieście w zbieraniu kłosów.

Maleński Jezus (miał wtedy dwa latka) został sam na zielonej miedzy, pośród łanów niezżętej jeszcze pszenicy.

Ciężkie złote kłosy chyliły się z szelestem i dzwiękiem dojrzałych ziarn: kłaniały się w pas, po chłopsku, przed Dzieciną Bożą.

Ozwała się przepiórka i zamilkła.

Zboże kłaniało się wciąż, prosząco o coś, skarżąc się. I żal się zrobiło Jezusowi tych kłosów, co tak smutnie szumiały.

Chciał je pocieszyć. Ale jak?

Wtem zamyślone spojrzenie Dzieciny padło na własną sukienkę. A sukienka ta była koloru sierpniowego nieba; szyła ją Najświętsza Panienka własnemi rękoma.

Rozjaśniła się twarzyczka Jezusa: w małem miłującym sercu wyrósł cudny kwiat: „Podzielę się z nimi“.

I rwać począł małemi rączkami swą niebieską sukienkę i kawałki rzucał mały Jezus w szumiące łany.

I cud stał się. Gdziekolwiek padł taki strzępek Bożej sukienki, tam kwiatek wyrastał mały z poszarpanemi brzegami płatków.

Ale kłosów było dużo.

Mały Jezus siedział już jeno w białej koszulce i drzącemi rączkami rzucał ostatnie strzępki sukienki.

Tak powstały modraki.

I wiele, wiele od chwili tej lat przeszło. Pod lasem nad białą, biegnącą w dal szosą, stoi stary, spróchniały krzyż.

Z wiekiem poczerniał i pochylił się nad drogą. I runąłby może, gdyby nie brzoza płacząca, co swemi konarami opasała go i przytuliwszy do swego białego pnia, upaść mu nie pozwala na białą, równą drogę ludzi.

Na wiosnę i latem nie poznałbyś, że to krzyż stoi: brzoza kryje w swych długich warkoczach poczerniałe jego ramiona i ropiętą na nich męczeńską postać Zbawcy.

Podróżny, z dalekich jadąc stron, dziwi się, nie rozumiejąc, czemu to, gdy brzozę mijają, to chłopek czapkę zdejmuje...

Drogą tą szła wiejska dziewczyna, niosąc naręcz modraków, dla przystrojenia białych ścian chaty ojcowej.

I przyszła na to miejsce, gdzie nad drogą chylił się krzyż stary.

Brzoza wiosny tej nie rozwinęła się i uschła. Krzyż stał schylony, oparty na schnących, zszarzałych konarach brzozy.

Dziewczynie żal się zrobiło Chrystusa. Z kwiatów, które niosła, splotła długą niebieską szarfę i otuliła nią nagie ciało Zbawcy.

Stało się tak, że Chrystus przyodział znowu po lat tysiącach swą błękitną sukienkę, którą kiedyś dzieckiem, rozdał smutnym, skarżącym się łanom.

Harcerze miłujcie przyrodę.

Sprawność „miłośnika" czy też „miłośniczki kwiatów", dość rzadką jest u nas naogół; mając nieraz wszelkie dane po temu, ani druhenki, ani druhowie, uważający to sobie za „ujmę" honoru, pielęgnowaniem kwiatów nie zajmują się. A jednak jest to rozrywka nadzwyczaj miła i pożyteczna, wyrabiająca zamiłowanie do piękna, delikatność i podziw dla przyrody która często cuda wprost stwarza.



Z Chorągwi Lubelskiej: załadowywanie się na stacji w Puławach.

Hodowanie kwiatów nie jest rzeczą kosztowną, kupuje się bowiem tylko dobrą ziemię u ogrodnika, wazoniki nieduże, podstawki do nich. Kwiaty, z których mamy odłączyć dla siebie „ablegierek" lub cebulkę znaleźć można zawsze prawie u znajomych, ewentualnie już u ogrodnika. Kwiaty wymagają możliwie dużo słońca i wilgoci w miarę, a cebulkowe—podlewania dosyć skąpego, bo zaraz gniją. Trochę starań i zachodu — a otrzymać można w rezultacie kwiaty prześliczne, z których można w pokojach lub w izbach wspaniałe dekoracje urządzać.

Kwiaty przeważnie rozmnaża się na wiosnę przez ablegrowanie, podział korzenia lub cebulki, rzadziej z nasion. Ablegierkiem będzie każda młoda, ale silna gałązka, około 5—6 cm. długa, z kilku listkami.

Chcąc mieć nowy kwiat, obcina się ją ostrym nożykiem, wsadza do niedużej doniczki, ugniata lekko dookoła ziemię, podlewa niedużo, i stawia w cieniu, nie na silne słońce, póki listków nie wypuści nowych. Tak samo postępuje się z podzielonemi korzeniami lub cebulkami. — (nie wsadzać tylko za głęboko!).

Kwiaty pospolite, jak pelargonje,

laki, oraz trawy zielone lub pączki, a nawet dość ozdobne, przyjmują się dość ozdobne, przyjmują się bardzo łatwo, i nic nie warto mówić. Postarać się trzeba o rośliny albo bardzo ładne kwitnące, albo mające ładne i duże liście; najpierw kilka słów o tych ostatnich.

Pospolite dość „żelazne liście" — dość efektowne, rozsadza się przez podział korzeni.

Paproć leśna, rosnąc krzaczasto, bardzo ładnie wygląda w dużem wiadrze albo wazonie. Przynieść trzeba kłacz z lasu na jesieni i zakopać na zimę, potem posadzić do wazonu; można przynieść także wprost już na wiosnę, kiedy ma młode liście. Paproć hoduje się b. łatwo.

Begonje liściaste rozmaitych gatunków, z małemi lub bardzo dużemi liśćmi różnych kolorów, — rozsadza się albo przez podział cebulek, albo przez ablegery.

Szparagi wazonowe, nadzwyczaj ładne i łatwo rosnące można mieć z nasion (długo nie wschodzą) albo z korzeni, które tak jak i wszystkie inne, dzieli się na wiosnę.

Cytryny i pomarańcze, wyhodowane z nasion (pestek) a zaszczepione przez ogrodnika dać mogą nawet kwiaty (owoców nie będzie!).

Palmy z nasion rosną nadzwyczaj wolno — przez pierwszych parę lat wypuszczają tylko po jednym wązkim listku na rok.

Kwiatów ładnych i trwałych jest dużo, ale nie każdy może odrazu się uda; nie trzeba się zrażać, a próbować dalej.

Róże są bardzo licznych odmian, zasadzać można przez podział korzeni, lub z ablegerów, obcinać często trzeba wyrostki zbędne („wilczki"), na wiosnę wogóle poobcinać, a kwitnąć będą ładnie.

Posadziwszy ablegier t. zw. Chińskiej róży należy dopóki się nie przyjmie, trzymać pod szklanką.

Begonje kiatowe, b. ładne, ale dość kosztowne można mieć tylko z cebulek.

Oleandry białe lub różowe wyrastają z gałązek małych, które trzeba trzymać w wodzie póki korzonków nie puszczą.

Z cebulek także można mieć alpejskie fijołki, amorylki, tulipany, narcyzy, hiacynty (tylko z lata) i inne.

Rok cały kwitną prymulki różnych kolorów i odcieni, — rozsadzić dość łatwo przez podział korzeni.

Prześliczne są chryzantemy japońskie różnych kolorów: białe, liljowe, złote, hodują się łatwo, z ablegierków, obcinać trzeba tylko zbyt liczne pędy, a zostanie jeden, dwa lub trzy, wtedy dopiero kwiaty będą duże i ładne.

Kwitną także, chociaż głównie się je chowa dla liści — klony rozmaitych gatunków: „pstre", czysto zielone, i t. d. Rosną z gałązek bardzo prędko i wielkich starań nie wymagają.

Zresztą w każdym domu znajdzie się już parę doniczek z kwiatami „dorosłemi", więc dobra harcerka lub harcerz będą mogli sił swych na tem wdzięcznem polu spróbować. Zawsze także w domu znajdzie się albo książka ogrodnicza, albo ktoś na tem się znający i chętnie rady udzieli.

Kto ma ogródek, a w nim flance bratków, fijołków, gwoździków, astrów, kłacze konwalji, lub krzaki bzu, może to wszystko mieć w domu, trzeba tylko to „towarzystwo" na

wiosnę do wazonów przesadzić. Bzu wykopać trzeba tylko nieduże pędy z korzeniami, i wazon na lato zostawić zakopany w ogrodzie, a zabrać dopiero na jesieni. Na wiosnę, o ile będzie stał w cieple, może już zakwitnąć.

Hodowanie kwiatów polecam szczególniej druhom, w uczuciach swych dla druhen zawiedzionych — jako złagodzenie bólu, albo też tym, którzy jeszcze „na serce" chorują... Pamiętajcie, że np. ładny wazonik na 15 maja lu 24 czerwca posłany dużo Wam pomóc może.

W. U.

Przygotowanie letniej włóczęgi.

Zdecydowaliśmy się. Idziemy w lecie na wycieczkę.

Przewędrujemy kawał Polski. Zobaczymy wiele i wiele postanawiamy skorzystać na tej włóczędze.

Ale, jak się do tego wziąć, żeby wszystko dobrze poszło, żeby wycieczka się udała?

Odpowiem Wam: nie święci garnki lepią.

Wystarczy gruntowne przestudjowanie którejś z książeczek:

Janowskiego. Wycieczki krajoznawcze (Metodyka) lub Bykowskiego — Wycieczki szkolne, a najlepiej książeczki druha podharcmistrza Muszalskiego — Wielkie wycieczki.

Przestudjowanie tych książeczek da Wam ogólne pojęcie o tem, jak się do wycieczek przygotować i co robić w czasie wycieczki. Jeżeli chodzi o urozmaicenie programu — to dużo ciekawego materjału można znaleźć w pracy zbiorowej, wydanej przez Tow. Krajoznawcze — Metodyka wycieczek krajoznawczych (w bibliotekach) lub w książeczce Berga Grotomskiej — Wycieczki krajoznawcze.

Sądzą jednak, że niezależnie od myśli, jakie wam się nasuną po ich przeczytaniu, należy zwrócić baczną uwagę, aby program wycieczki był możliwie wszechstronny z podkreśleniem, jednak, wyraźnem tej czy innej części programu.

Przedewszystkiem, oczywiście, należy dbać o zachowanie warunków higjenicznych marszu. Ilość przeybytych kilometrów, odpoczynki, noclegi, — obciążenie i t. d. — wszystko to musi być wzięte pod uwagę i rozstrzygnięte w myśl wymagań higjeny. Niedotrzymanie wymaganych w tym względzie warunków może zepsuć całą wartość i korzyść wędrówki.

Również dokładnie i skrupulatnie musi być opracowany program krajoznawczy.

Przed wyruszeniem w drogę należy dokładnie przestudjować posiadane przewodniki, wynotować najciekawsze miejscowości, zabytki i przedmioty czy to historyczne, czy geograficzne, czy przyrodnicze i, w miarę możności, włączyć do programu wycieczki. Ponieważ nie wszystkie miejscowości znajdziemy opisane w przewodnikach, w celu uzupełnienia materjału opisanego należy zajrzeć do Słownika Geograficznego, obejmującego opis wszystkich miejscowości ziem histo-

rycznej Polski. Odnajdziecie go w każdej większej bibljotece).

Wreszcie należy zajrzeć do jakiegoś podręcznika Geografji Polski (Lencewicza, Pawłowskiego, Sosnowskiego, Radlińskiego) i przypomnieć sobie trochę szczegółów dotyczących ogólnej charakterystyki terenu, przez który mamy wędrować.

A wreszcie trzeba „wyłapywać" z literatury, z którą zetknęliśmy się poprzednio wszystko, co dotyczy danego terenu, a więc podania, legendy, poezje i t. d.

Wędrując z takim zapasem wiadomości zupełnie inaczej będziemy patrzyli na teren po którym, idziemy, na przedmioty, z któremi się spotykamy.

Dla zaokrąglenia całości programu należy się również przygotować **pod względm harcerskim**, co nam zresztą wiele kłopotu nie powinno sprawiać.

Wystarczy bowiem zlekka odświeżyć sobie wiadomości techniczne harcerskie, zaopatrzyć się, jeżeli można, w aparat fotograficzny, szkicownik i dzienniczek.

Utrwalenie swoich przeżyć w formie fotografji, czy choćby najprostszego szkicu i zanotowanie w krótkiej wzmiance w dzienniczku, który powinien być jak najskrupulatniej i systematycznie prowadzony — pozwoli na odświeżanie w pamięci najmilszych chwil beztroskiej wędrówki.

Zresztą po wędrówce wszystkie chwile są miłe. Tak się każdemu wydaje, gdy wspomina przebyte przygody i najcięższe tarapaty.

Swoboda ruchów, słońce i przestwór tak dziwnie przepajają wszystkie przeżycia wycieczki pogodą, tak sycą najpiękniejszemi wrażeniami, tak kształcą w najmilszy dla nas sposób, — że nie możemy chwil spędzonych na łonie natury inaczej wspominać, jak tylko z głębokim żalem, że już należą do przyszłości.

Sprobujcie sami!

Tadeusz Maresz.

W. LOANG.

Z życia zimorodków.

Spolszczył O. GRZYMAŁOWSKI.

Koskomenos — zimorodek nie cieszy się powagą wśród ptaków, gdyż dotąd jeszcze, śladem swych przodków pełzających, zakopuje się w ziemi; będąc jednak z natury gadułą, lekkoduchem i zarozumialcem, lekko sobie waży opinję ogółu. Na razie może się zdawać, że poza zręcznem łapaniem ryby i spożywaniem jaj niema on żadnych dalszych celów w swem życiu, lecz są to pozory; obserwując bowiem życie jego zbliska i uważnie, przekonać się możemy, że nie brak mu sprytu i dużej roztropności.

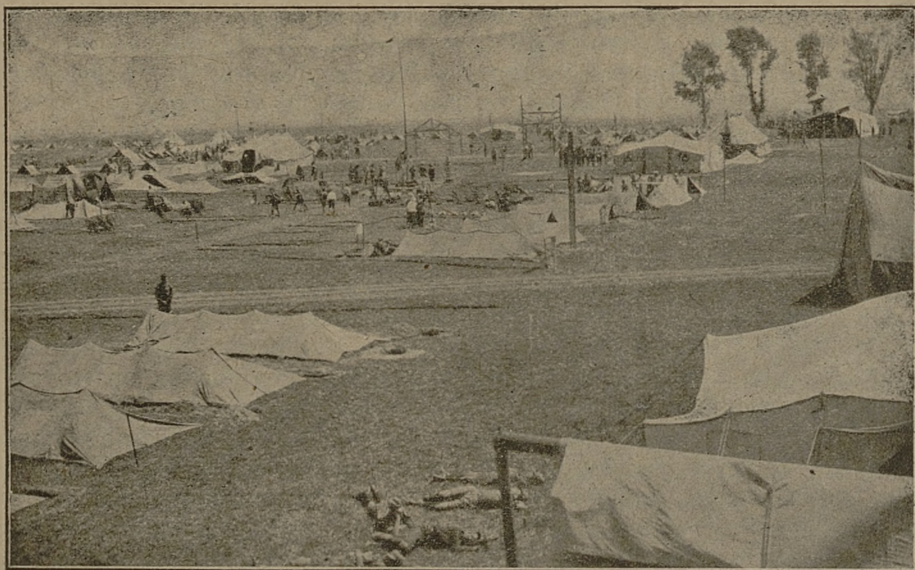
Jego sposób łapania ryby jest niesłychanie zręczny. Szybkiemi rzutami swych mocnych skrzydełek krąży prędko nad wodą, hałaśliwie ćwierkając, a jednocześnie jego bystre oczy porzez drgające światełka migotliwych fal dostrzegają ruchy przepływających ryb; nagle jak strzała rzuca się w tym kierunku i nieomylnie jednym uderzeniem silnego dziobka w skrzela płynącej ryby za-

bija ją i unosi swą zdobycz w powietrze.

Powtarza się to tak często i z takim zawsze pomyślnym rezultatem, że, nie można się dość napatrzeć tym zręcznym łowom; obserwowałem go też bardzo często; w wyniku jednak moich spostrzeżeń nie będę zatrzymywał się nad opisem zewnętrznych cech charakterystycznych ciekawego skądinąd ptaka, bo wszystko to można łatwo znaleść we wszelkich podręcznikach z działu ornitologji, chcę natomiast podzielić się wnioskami z mych obserwacyj o sposobie jego życia, zwyczajach wychowywania małych i t. d.

spędzałem ranki na hypnotyzowaniu popławka.

Jednego pięknego poranku, zobaczyłem zimorodka, lecącego nad rzeką ku gęstym szuwarom na przeciwległym jej brzegu. Gdzieś tam mieściło się zapewne jego gniazdo, tak jednak misternie ukryte pod korzeniami nadbrzeżnych wierzb, że chociaż tam przedtem przesiadywałem długie godziny i bacznie śledziłem ruchy ptaków, nigdy go dostrzec nie mogłem. Zdawać się mogło, że zimorodki rozumieją moją ciekawość i umyślnie chcą mię w błąd wprowadzić — świergotały niefrasobliwie i wesoło jakby dając mi



Fragment obozu Zlotowego na Siekierkach.

Miejscem mych obserwacyj były dwa nieduże stawki, w których pstrągi i piskorze miały swe siedlisko. Często też tam amatorzy haczyka byli wynagradzani za swą cierpliwość obfitym połowem.

Należąc do liczby tych naiwnych

tem do poznania, że zachowanie się ich byłoby zupełnie inne, gdyby ich ogniska domowe były w niebezpieczeństwie.

Wytrwałość moja jednak została wyangrodzoną, a dłuższa obserwacja nad życiem rodzinnem zimo—

rodka pozwoliły mi zmienić pogląd co do tego trzpiota i rehabilitować go w oczach czytelników.

Zimorodek nadzwyczaj pieczołołowicie czuwa nad swoją samiczką w okresie wysiadywania jaj, karmi ją troskliwie i czuwa nad bezpieczeństwem. Widziałem raz, jak odważnie rzucił się na wydrę, która ostrzyła apetyt na jajeczka. Ledwie że jej nie zabił swym ostrym dziobem.

Własne prawo zimorodków reguluje teren polowań, kłusownictwo między niemi jest wykluczone i nawet srogo karane.

Trudno nawet przypuścić ile doświadczenia i przyrodzonego sprytu kryje czupurna główka zimorodka.

Zna on wspaniale zwyczaje poszczególnych rybek i umie z tej wiedzy skorzystać; wie gdzie i kiedy jak trzeba każdą z nich łapać.

Gdy jego małe po raz pierwszy wyjrzą na świat, wtedy zdolności i pomysłowość pedagogiczna koskomenosa znajdują szerokie do zastosowania pole.

Aby go móc obserwować zaszyłem się któregoś dnia w pobliskich zaroślach. Spostrzegłem jak samka zimorodek wyglądnęła z norki — bacznem, inspekcyjnem okiem obrzuciła okolicę. Duży wodny wąż wygrzewał się opodal na słońcu. To sąsiad, groźny dla maleństwa — trzeba go wypędzić, — nie namyślając się długo, w czyn zamiar swój zmienia. Trochę powyżej stadko młodych kaczek pluskało się i te też trzeba przepłoszyć — z hałasem i wymyślaniem, niby przekupka, poleciała w tym kierunku. Biedne, spłoszone stadko zemknęło szybko na dalsze błotko. Nagle samiczka zoczyła dużą żabę, poważnie siedzacą na wielkim nenufarze w oczekiwaniu słonecznej kąpieli.

Czikwale — takie to miano arystokratyczne nosił ów osobnik. Polował czasami na młode niedoświadczone pstrągi, lub pisklęta — lecz nigdy by się nie odważył zaczepić zimorodka.. Samiczka jednak, jak kłótliwa gospodyni, co szpera w każdym kącie, okurzając mieszkanie w czasie sobotnich porządków i wszędzie wścibia swój nos — jak strzała rzuciła się prosto na łeb rozmarzonemu stworzeniu z bojowym okrzykiem.

Czikwale zastrachany, potykając się niezgrabnie, wiał co tchu ku ocienionym brzegom, ratując swą skórę. Samiczka zadowolona z oczyszczenia pola — jeszcze raz oglądnęła teren i ogłosiła swe zwycięstwo groźnym, trzeszczącym ćwierkiem, jakby na postrach tym, coby ośmielili się wejść jej w drogę.

Nareszcie, uspokojona zupełnie czmychnęła do gniazdka.

Po chwili z otworu wysunęło główką jedno z piskląt ze zdziwioną mocno minką. Pierwszy to raz ujrzało ono świat Boży. Lecz nie dano mu długo napawać się nowym dlań widokiem: silnem widać pchnięciem wyrzucone z gniazdka oparło się aż na przeciwległym brzegu. Wślad za niem poleciało, tak samo drugie i trzecie pisklę, jakby to zawczasu było umówione. I wkrótce cała rodzinka siedziała obok siebie nad wiecznie zagadkowo szumiącą wodą, w świetle jarzącego słońca, co jednakowo hojnie szafuje swem ciepłem dla wszystkich mieszkańców ziemi.

Była to pierwsza przymusowa lekcja małych pisklątek. Naturalnie, że za ów pierwszy samodzielny przelot otrzymały one wkrótce nagrodę w postaci tłustych pstrągów, które od rana koskomenos ojciec łapał dla swego potomstwa w pocie małego,

opierzonego czoła. Musiał też dużo opowiadać o pięknie życia, bo po spożyciu uczty długo jeszcze słychać było wesoły szczebiot zimorodków. Następna lekcja była jeszcze ciekawsza: była to lekcja połowu ryb.

Szkołą był stawek o torfowym dnie i spokojnej wodzie. Stara wierzba konarami swemi otaczała brzegi — łatwo było siedząc tam zauważyć srebrzystą łuskę ryby, odbijającą wyraźnie od tła ciemnego dna. Zawczasu zimorodki rodzice nałapały ze dwadzieścia pstrągów i po zabiciu rozrzuciły w różnych miejscach stawku.

Gdy młodzież ulokowała się na wierzbie, rodzice przykładem zachęcali ją do zdobycia pożywienia, pokazywali jak trzeba nurkować i chwytać zdobycz. Pisklęta były głodne i wkrótce ogarnął je zapał myśliwski, prócz jednego z nich największego widać tchórza; widząc to samiczka wyciągnęła rybę z wody i pokazując ją małemu strachoputowi, znów ją wrzucała do wody; po kilku takich próbach nareszcie udało mu się przezwyciężyć strach i samemu wyłowić smaczny kąsek.

W parę dni później przechodząc po brzegu rzeki spostrzegła sporą sadzawkę pełną wody, w której około tuzina przestraszonych pstrągów, rzucało się, jak turyści na obczyźnie. Długo rozmyślałem nad tem w j[illegible] sposób przywędrowały one przez suchy pas ziemi. Do rozwiązania zagadki dopiero pomógł mi zimorodek, lecący z rybą w dziobie. Schowałem się w zaroślach, aby go obserwować, bo owa bajura wydała mi się czemś w rodzaju szkółki Freblowskiej zmyślnego ptaka.

Rozglądał się on tymczasem bacznie naokoło przeszukując całą okolicę i po niedługiej chwili uspokojony widać, wrócił z samiczką i całą swoją rodziną. Zaczęło się polowanie. Pierwsze kroki małych były mocno niepewne i dużo robiło się pudeł. nim jakaś najczęściej ranna rybka dostała się do dzioba — bo zimorodek samiec i takie też wpuścił dla zachęty i ułatwienia. Po pierwszych niepowodzeniach jednakże szło co raz lepiej, pisklęta padały jak strzały z drzewa prostopadle w dół, lub pod ostrym kątem i dziobez ostrym uderzały w nurkującą w głąb wody rybę.

Na rzece, zadanie to było zbyt trudne, nie mówiąc już o silnym prądzie i niebezpieczeństwo by groziło zbyt wielkie dla młodego pokolenia. Pomysłowy Koskomenos przeto znalazł inny sposób nauki i aby pomóc swej samiczce, sam nałapał rybek i napuścił do odciętego stawku, aby tam narazie synkowie próbowali swych łowieckich zdolności i na łatwiejszym terenie przygotowali się do samodzielnego życia. Najciekawsze zaś w jego postępowaniu było to, że sam skombinował, że pstrągi uciekać nie mogą z odciętego stawku i że przeto można i trzeba przenieść je żywcem. Czyż nie była to więc prawdziwa szkółka dla dzieci?

Po paru tygodniach małe dorosły do takiej wprawy, że mogły zupełnie obywać się bez pomocy rodziców i karmić się własnym przemysłem.

W czasie tego okresu miałem raz sposobność zaobserwować jedną z zabaw zimorodków, które wogóle są trzpiotowate. Trzy młode zimorodki zajęły trzy pnie, wystające nad brzegiem rzeki, w wodach, której pełno było drobnych piskorzy, pstrągów wesołych okoni, sennych karpi. Raptem jak na komendę trzy ptaki rzuciły się wdół pod wodę, a po

chwili wracały na powierzchnię, tak samo szybko wskakiwały na te same pnie, aby na gwałt, dławiąc się wprost, połknąć złapaną zdobycz. Po odbyciu tej operacji każdy wykonywał zagadkowy, prawie, że indyjsko-bojowy taniec — ogłaszając swój czyn światu ciągłem ćwierkaniem. Podobne eskapady powtarzały się parokrotnie i zawsze jednocześnie jakby na rozkaz.

Dopiero po niejakimś czasie zrozumiałem sens całej zabawy. Mając ryb poddostatkiem, nie czując więc głodu, a będąc młodymi i mając duży zapas wesołości, wymyśliło to bractwo grę, polegającą na łapaniu na wyścigi ryb i na połykaniu też na wyścigi; było to coś w rodzaju zakładu małych chłopców, kto więcej i prędzej zje wisien z pestkami — tylko, że młode zimorodki wyrabiały sobie przytem spryt i zręczność łowiecką. Zdarzało się czasem, że któryś z ptaków wracał z pustym dziobem na pień, a jeszcze częściej, że bractwo całe spotykało się głowami nad jedną upatrzoną rybą i dużo było hałasu i gwałtu nim sprzeczka dobiegła do końca, — a zakończenie było zawsze podobne — czyli zaczynano od początku.

Koskomenos nie żyje gromadami, częściej pędzi żywot samotnika mało ma przyjaciół. Ten to powód daje prawo nadziału terenu polowań na własność, dorosłemu osobnikowi.

Młodzież tylko i to z jednego gniazd żyje jakiś czas gromadnie. Przeto i moja znajoma gromadka trzymała się zawsze razem, rozkoszując się życiem w te cudne, spokojne, jesienne dni, gdy cała przyroda odpoczywa po dokonanej owocnej pracy.



W góry, w góry, miły bra ie!

Pamiętam wieczór.

Pamiętam z wieczorów harcerskich, wieczór jeden na dwudniowej wycieczce drużyny króla Jagiełły, sławnych „Jagiellończyków". ...Był wieczór przecudny, a cichy. Obozowaliśmy pod lasem, boć na leśniczówce „Załapin" nocleg mieliśmy wyborny! Była nas dwudziestka chłopców na schwał, a we śpiewaniu najpierwszych. Tak tedy straciwszy dzień cały na dzikich, a hukaniem wzmaganych, leśnych harcowaniach, zebraliśmy się wszyscy ilu nas ochoczych było około ogniska... Piękny a czarowny las — staruszek szumiał nad nami, siła jakaś tajemna sunęła od niego i wionęła na nas młodych... Siedzieliśmy wokół ogniska na wyniosłym pagórku nad stawem przewspaniałym...

Strzeliło ku górze snopię iskier złotych. Odezwały się w stawie onym żaby, czarodziejki wieczorów letnich, rechotem zgodnym a rzewnym, jak modlitwa. Gładka tafla stawu dobrostańskiego odbijała blaski złote, strzeliste od ogniska złotego. A okiem wprawnem sokolem mógłbyś dostrzec na stawie wśród pomroki nocnej wysepki dwie: „Krzysztofa" i Zeneidy".

Rozpoczęliśmy te nasze piosenki harcerskie, ogniskowe. Płynęły one zrazu w mroczną dal jak pienia lekkie... ciche jakieś, ...a potem potężniały coraz bardziej, aż zabrzmiały tak potężnie i donośnie nad uśpioną ziemią, że na tle ciszy nocnej dziwne sprawiały i niezapomniane wrażenie. Nikt pewnie ich nie słuchał— tych naszych piosenek — z pośród ludzi, bo... późno już było. Tylko ode wsi szedł głos naszczekiwań wiejskich „Burków" i Cyganów" lub dworskich „Georgów" („Żorżów"), stróżów wiernych...

I wśród ciszy tej i nocy pieśń wieczorna potężniała, w olbrzyma rosnąc i odbijała się echem ech aż hen daleko na lasach ciemnych i oparach nocnych... niosąc harcerskie śpiewania po ziemicy naszej uśpionej.

...plusk ...plusk, plusk,—zderzały się ze sobą lekko fale stawu.

...szszszsz, uuuuuu, szszszsz,—kołysał się w pomroce nocnej las-czarodziej.

Frrrrrrr...—przeleciał ponad głowami naszemi gacek nietoperz, mysz skrzydlata.

A nasza pieśń w cichości niezmiernej huczała, jak ów dzwon pęknięty, któremu serce rozdarto...

Las, staw, ognisko noc i cienie u ogniska zdawały się być zaklętemi tworami. — „Królestwo zaklęte"! — a w niem gromadka harcerzy. Wśród nich jeden kochany: Komendant. Nad nimi jeden wszechpotężny: Bóg.

Nie pomnę słów jakiemi odezwał się u ogniska wódz nasz, ale wiem i czuję, że czuwać nam kazał wiernie na straży Naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Wzięliśmy od niego nakazanie owo święte. Przysięgaliśmy w duchu, że czuwać będziemy.

Rozeszła się w przestworze i dotarła do Boga gorąca modlitwa serc harcerskich: „Wszystkie nasze dzienne sprawy".

...Ognisko dogasało... Las szumiał... Staw pluskał... Spoczęliśmy na „Załapinie", bo... późno już było. Tak! Pamiętam Dobrostany... pamiętam wieczór...

Tadeusz Kleszczyński.

Moja podróż po rzece Wieprzu, przerwana wskutek wypadków wojennych 1914 roku.

Całe lato 1914 roku wypadło mi spędzić na wsi w Kośminie nad Wieprzem w obrębie powiatu puławskiego. Tym sposobem przepadłby dla mnie dwudziestoletniego czynnego członka „Warszawskiego T-wa Wioślarskiego“ cały sezon wioślarski. Nie mogłem tego dopuścić. Zwróciłem się przeto do Komitetu T-wa o udzielenie do wyłącznego mego rozporządzenia, chociaż na 4 tygodnie, starej dwuwiosłówki na 2 krótkie wiosła typu tak zwanych „hamburek“. Moje życzenie zostało uwzględnione; wyznaczono mi świeżo grutownie odnowioną łódkę „Grażynę“.

Mając łódź zapewnioną, umówiłem się ze stałym towarzyszem moich wycieczek, dziś już nieżyjącym, ś. p. Stanisławem Kędzierskim, że przez 2 tygodnie będę sam korzystał z „Grażyny“ w Kośminie, zaś po upływie tego czasu Kędzierski przyjedzie do mnie na wieś około 1-go sierpnia i zrobimy wspólnie większą wyprawę w górę Wieprza do Krasnegostawu, poczem spłyniemy z powrotem do Warszawy.

„Homo proponit, Deus disponit“. Z tego pięknego projektu zaledwie cząstkę dano mi było wykonać.

Przed samym moim wyjazdem na wieś zawiadomił mnie Kędzierski, że nieprzewidziane przeszkody nie pozwalają mu na dłuższy wyjazd z Warszawy w umówionym czesie.

Trzeba było obejrzeć się za innym towarzyszem. Zwróciłem się tedy z zapytaniem do druha Kukiera, czy nie zechciałby przyjąć udziału w wycieczce? Chętnie na to przystał, mając właśnie w basenie Wieprzą licznych dostawców ryb, które stanowiły przedmiot jego przedsiębiorstwa. Można było połączyć „pożyteczne z przyjemnem“.

Ponieważ wypadło mi wyjechać z Warszawy 11 lipca, a dopiero 16-go miałem stanąć w Puławach, uprosiłem przeto druha Kukiera, aby raczył na ten termin wysłać „Grażynę“ statkiem parowym do Puław. Zostały one wybrane jako najbliższe ujścia Wieprza stacja wiślana parostatków, zapewniająca łodzi zupełne bezpieczeństwo. Umówiony z zarządem żeglugi koszt przewozu łodzi 12 rubli powiększył się o 2 ruble napiwku służbie za otaczanie łodzi życzliwą opieką — co zawsze się opłaca.

W dniu 16 lipca, o 3-ej rano wyjechałem z Kośmina końmi do Puław w towarzystwie kuzyna mego, studenta wyższych kursów rolniczych, p. Aleksandra Z., zapalonego zwolennika i mistrza sztuki pływackiej, premjowanego na wielu konkursach tego sportu.

Chłód przejmujący dokuczał nam aż do wschodu słońca. Od Żyrzyna skręciliśmy na prawo i wlokąc się noga za nogą po wyboistej i piaszczystej drodze leśnej dopiero o 6½ dobiliśmy się do Puław.

Po wypiciu niezłej kawy w cukierni o szumnej nazwie „Bristol“ udaliśmy się do przystani żeglugi parowej, oddalonej od miasta o 2 kilometry, wskutek zaniesienia piaskiem bliższych brzegów.

Łódź wraz z przynależnościami znaleźliśmy w najlepszym porządku

i o godzinie 7.45 rano ruszyliśmy do ujścia Wieprza t. j. w dół Wisły ku twierdzy Dęblińskiej, strażnicy tego ważnego punktu dróg wodnych.

Pogoda była bajkowa, torba wypełniona doskonałym prowiantem, wioślarze w usposobieniu wesołem, — jednem słowem, wszystkie warunki składały się na bardzo miłą przejażdżkę. Nie wypadła jednak ona jednak tak składnie jak się zapowiadała.

Przedewszystkiem okazało się wkrótce, że przymioty dzielnego pływaka i nurka niekoniecznie muszą iść w parze z odpowiedniem uzdolnieniem i wytrzymałością wioślarską. Cała droga do ujścia Wieprza zeszła na nauce i oznajamianiu mego młodocianego towarzysza z tajnikami ruchów najbardziej celowych dla osiągnięcia żwawego posuwania naprzód łodzi, bez zbytniego wysiłku mięśnia i muskułów i zabezpieczenia organizmu od zawsze szkodliwego uczucia zmęczenia.

Wiosłując tedy wprawdzie wolno ale bez „stopu" na zmianę o 10.15 przed południem wypłynęliśmy na wody Wieprza. Postanowionem było zatrzymać się tutaj dla użycia kąpieli i gruntownego posiłku. Upatrzyliśmy sobie sympatyczne do tego miejsce w pobliżu mostu kolejowego. Przedtem jednak mieliśmy do pokonania przeszkodę w posta liny drucianej od promu, przeciągniętej przez całą szerokość rzeki, tuż nad powierzchnią wody. Mój kuzynek tak dobrze pod koniec sprawował się na wiośle, że zaufałem jego umiejętność, jak się okazało — nieco przedwcześnie. Na sterze trzeba było wiele wprawy i doświadczenie, wolałem więc zatrzymać go w swojej ręce. Wyjąłem flagę, którą mogła zawadzić o linę, objaśniłem Z., że należy łodzi nadać silniejszy bieg, następnie na odpowiednią komendę: spławić wiosła przy jednoczesnem wyłożeniu się w tył i gdy tylko takowe znajdą się poza linją, podnieść się żwawym ruchem i momentalnie chwycić wodę równo obu wiosłami.



Zbliżyliśmy się do liny; komenda „pięć wolnych" była wykonaną doskonale i z widocznym skutkiem; „spławić wiosła" również poszło dobrze, lecz przy komendzie: „chwytaj wodę", w chwili kiedy ja na sterze musiałem się mocno na-

chylić pod liną, zostałem błyskawicznie wyrzucony z łodzi, jak z procy, głową na dół.

Skoro wypłynąłem na powierzchnię ujrzałem „Grażynę“ przypartą bokiem do liny i mocno pochyloną, tak, że prawy burt dotykał wody. Z wielkim niepokojem rozglądam się na wszyskie strony, niewidząc mego kuzynka, którego głowę spostrzegam nareszcie po upływie dobraj minuty o jakie 100 metrów poniżej. Podpłynął do mnie, mocno uradowany, że mnie widzi na wierzchu żywego i w dobrem zdrowiu, podczas, gdy on czynił poszukiwania na dnie, nurkując.

Wyjaśniło się, że krytycznej chwili młodemu wioślarzowi obśliznęło się lewe wiosło; łódź szarpnięta prawem i naparta w dodatku bystrym prądem, gwałtownie skręciła na lewo. — Obie te siły, zahamowane bocznem spotkaniem „Grażyny“ z liną, „wylały“ nas momentalnie „do męki“*) wiosłem wlały do łodzi parę kubłów wody na szczęście nie tyle aby nasze sakwy uległy zamoczeniu. — Prowianty tedy ocalały.

Przy katastrofie mój precyzyjny zegarek tisotowski opił się trochę wody, a ulubione moje binokle z żółto-zielonemi szkłami od słońca utonęły. — Z. kilka razy z amatorstwa nurkował, ale bezskutecznie Głębokość w tym miejscu wynosiła około 3 metrów, a przedmiot zbyt mały i lekki został niewątpliwie odniesiony bystrym prądem znacznie dalej. Uwolnienie łodzi z uścisków prądu i liny kosztowało nas troszkę trudu.

Wszystkiemu temu przypatrywała się z brzegu fortecznego grupa oficerów rosyjskich, nie zdradzając niczem jakiejkolwiek chęci okazania nam pomocy, która zresztą co prawda była zupełnie zbyteczną.

W doskonałych humorach z powodu wypełnienia w tak nadzwyczajny sposób, pierwszej części programu, jaką stanowiła kąpiel,—wylewaliśmy wodę z łodzi, wyżymaliśmy i rozwiewali na słońcu nasze wioślarskie szatki.

W stroju adamowym zasiedliśmy nareszcie do upragnionego śniadania, które smakowało wyśmienicie!

Po krótkim wypoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę o 11.30, która w porównaniu z odbytym już dystansem w dół Wisły przedstawiała dość uciążliwą pracę przezwyciężenia prądu, bardzo silnego o tej porze na Wieprzu przy wysokim stanie wody. — Musieliśmy jednak pospieszać, aby przed zmrokiem dotrzeć do Kośmina.

(D. c. n.).

*) wyrażenie wioślarskie.



ZYGMUNT LORENTOWICZ.

Rzeczpospolita Rossoszańska.

(ciąg dalszy)

Rossosze, 26 czerwiec 1919 roku.

Komisja, wybrana dla przeprowadzenia starań o nową pracę, wywiązała się ze swego zadania bardzo dobrze. Porozumiawszy się z panem Załęskim, kierownikiem udyckiej selekcji, zaangażowała całe towarzystwo do prac selekcyjnych. Pan Załęski zgodził się chętnie na zamianę zwykłego robotnika przez nas, gdyż praca „na selekcji" wymaga już pewnej inteligencji i jest odpowiedzialniejszą od zwykłych robót polnych.

Drugim ważnym zdarzeniem jest powołanie do życia redakcji pisemka, które ma nosić tytuł „Rossoszanin". (uchwała zebrania). Ma to być organ, odzwierciadlający nasze życie w naszem państwie.

Rządy nad życiem codziennem przeszły całkowicie w nasze ręce. My projektujemy, decydujemy i wykonywujemy nasze projekty. Starsi są tak bardzo wytrąceni z równowagi warunkami w jakich się znaleźli, iż nie mogli by nic projektować, ani jaśniej myśleć. Ale z nami jest inaczej: burzy się w nas wszystko przeciwko tym warunkom i tym smutnym nastrojom wokół nas.

Pojutrze zaczynamy tę naszą nową pracę na selekcji.

27 czerwiec.

Mieliśmy dzisiaj dzień wolny. Zebranie redakcji „Rosszoszanina", a po wczesnym obiedzie, nie opowiadając się nikomu, wymknęliśmy się z Władkiem poza granice naszego państwa. Powód wycieczki taki: oto wczoraj wieczorem zaczęliśmy z nim wspominać świetne przedrewolucyjne czasy tych okolic. Owocem wspomnień była decyzja odwiedzenia pobliskiej Pohosyły, majątku p. Serafina Brzozowskiego, stryja Władka. Majątek ten od dwu lat opuszczony jest przez właściciela.

Chcieliśmy koniecznie zobaczyć w jakim stanie znajduje się obecnie pałac pohosylski i jeżeli się da, coś niecoś zeszkicować dla „Rossoszanina".

Weszliśmy do pohosylskiego parku przez wyrwane w ogrodzeniu sztachety, nie chcąc przechodzić przez folwark, gdzie szczególniej dla Władka, mogłoby być niebezpiecznie.

Za rosłemi alejami przeszliśmy zdziczały już park i ścieżką wokoło basenu, gdzie kwitną jeszcze białe i różowe róże, podeszliśmy pod sam pałac.

Zewnętrznie mało znać zniszczenie, krom dachów na poprzecznych oficynach, z których zaczęto już rozkradać blachy.

Teraz jednak cicho było zupełnie w parku, tak cicho, że słychać było brzęczenie much i trzmieli. Park i pałac były zupełnie puste. Teraz jeszcze zda mi się słyszę chrzęst żwiru pod naszemi nogami— taka cisza panowała pod temi białemi ścianami.

Weszliśmy na taras, z którego barjery sypały się gipsowe ozdoby, i głównem wejściem dostaliśmy się do wnętrza tak gościnnego niegdyś pohosylskiego dworu

Tutaj znać straszne zniszczenie. Przebiegliśmy wszystkie pokoje, gdzie na każdym kroku cisnęła się myśl, wspomnienie jakieś, jakaś scena, rozmowa z kimś, kogo się znało w tych murach chłodnych dzisiaj i pustych.

Złodzieje, zakradający się nocami, poobdzierali pozostałe meble, rozbili fortepian, lustra, powyrywali wszystkie drzwi od szaf i szafek. Kroki nasze głośnym echem rozlegały się po pustych korytarzach i pokojach.

Nie dokończyliśmy zwiedzania spusztoszonego pałacu. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nami: wyszliśmy na popękaną posadzkę tarasu:

— „Tutaj naprawdę smutno“!

— „Et, wracajmy do Rossosza“!

„A czy wiesz ty dlaczego w Rossoszu jaśniej i weselej?“ — pyta Władek.

— „No dlaczego“?

„A bo my tam jesteśmy. My i Pohosyłę przerobilibyśmy na wesoło“.

— „Może, ale przecież mieliśmy rysować“! przypominam.

W tym celu przeprawiliśmy się na drugą stronę stawu i tutaj z pomostu, wysuniętego daleko w staw, rysowaliśmy Pohosylski pałac.

Może ostatni raz już dzisiaj byliśmy w Pohosyle i widzieliśmy tu białe ściany, bo jeżeli tak dalej pójdzie, to wciągu roku zostaną jeno ruiny, jak ze starych zamków.

— — — — — — — — — — —

Jaki kontrast po powrocie do Rossosza!

Do naszej wycieczki pohosylskiej nie przyznajemy się. Przed chwilą jeszcze siedzieliśmy wszyscy na tarasie i śpiewaliśmy. Śliczne są ukraińskie piosenki. Nieznani autorzy byli naprawdę poetami tej ziemi, którzy potrafili odczuć bezbrzeżną tęsknotę, włóczącą się po stepach.

Ale kończę już. Dopala się mój kaganek zrobiony z masła i kawałka sznura, a i wcześnie wstać trzeba, bo przecie jutro pierwszy dzień naszej pracy na selekcji.

28 czerwiec.

I to ma się nazywać pracą! Nie, naprawdę, stanowczo wygraliśmy na tej zamianie na selekcyjną pracę dotychczasowego „sapania“.

Przez mokrą od rosy koniczynę za dworem poszliśmy na przełaj do tych selekcyjnych pól.

A praca nasza polega teraz na takich prostych czynnościach: wyrywa się cały krzaczek, wyrosły z jednego ziarnka pszenicy, otrząsa się ziemię, związuje razem w kilku miejscach wszystkie kłoski w jeden bukiecik i taki „snopek“ układa się z wielką ostrożnością na wózku.

Wokoło nas zaczynają się już żniwa.

Gdy tak patrzy się w step w letnie południe na początku żniw, to jasnem się staje tłumaczenie zagorzałych ukraińców pochodzenia ich barw narodowych — złote bezkresne przestrzenie pszenicy i czyste niebieskie niebo.

Tak nam dobrze i wesoło w tej spiekocie pośród stepu, że nawet dalekie bardzo odgłosy armatnich strzałów nie potrafiły zmącić tego słonecznego nastroju.

„To pewno Chrystynówkę bombardują“. — ogłaszają nasi znawcy.

W Rossoszu zupełnie niespodziewanie zastaliśmy właścicielkę ma-

jątku panią Brzozowską z córką Zosią. Jest nas coraz więcej.

Ale i towarzystwo starszych też się powiększyło, bo przyjechali również pp. Rokiccy, którzy uciekli przed represjami bolszewickiemi.

Wiadomości są naprawdę niepewne, gdyż bolszewicy żadnych wiadomości nie przepuszczają, a te wieści, które z wiatrem stepem idą, są tak różne i niepewne, a sprzeczne.

Wieczorem zjedliśmy wcześniej kolację i przenieśliśmy się do pokoju, w którym jedli powstańcy.

Oni bardzo często przyjeżdzają wieczorami do Rossosza. Na dzień gdzieś znikają i prawie ich nie widać, dopiero wieczorem stają się więcej widzialni.

Dzisiaj milczący Kursenko opowiadał nam swoją historję: oto bolszewicy wymordowali mu całą rodzinę: rodziców, żone i dzieci; on sam wyrwał się cudem z ich rąk i poprzysiągł zemstę czerwonej armji. Własnemi rękami zabił już siedemnastu „krasnoarmejców“.

Trochę nie wierzyliśmy i później sprawdziliśmy to opowiadanie u pułk. Nikolskiego.

Pułkownik potwierdził wszystko —i opowiadał wiele jeszcze o szalonej odwadze Kursenki.

Rossosze, 2 lipiec.

Niezależnie od redakcji „Rossoszanina“ zostało założone towarzystwo amatorów — artystów. Cel — odegranie komedyjek w przyszłości.

Próby zaczniemy w najbliższych dniach.

Powstańcy t. j. właściwie tylko dwuch: pułk. Nikolski i Steciura biorą udział w naszych zabawach, grach, śpiewach i tańcach.

Okazało się że pan Nikolski ślicznie gra na fortepianie, a pan Steciura śpiewa. Głos ma równie potężny, jak postać. I tak to do naszych wieczorowych rozrywek przybyły jeszcze gościnne występy powstańców. Tak tańczonego kozaka nie widziałem jeszcze i pewno nie prędko zobaczę, bo oto syn tych stepów, odpiąwszy ostrogi, z rewolwerem u pasa puścił się w „prysiudy“ wokoło niewielkiego rossoszańskiego saloniku, przy szalonym akompaniamencie kozaczka.

6 lipiec.

Noce są prześliczne teraz.

Gdy tak oto siedzę na stopniach tarasu z kolanami tuż pod brodę, z twarzą obróconą na park, na kolorowe klomby zdziczałych petunij, widnych w świetle księżyca i wsłuchuję się w granie świerszczów, nawoływanie przepiórek, w głuche, wzmagające się i zanikające brzęczenie przelatujących zawisaków, w szum wody w stawidłach — to zda mi się, iż po pewnym czasie łapię jakiemiś nienazwanemi organami słuchu rytm muzyki takiej nocy jasnej, zda, mi się, że słyszę jakby przyśpieszone bicie pulsu wielkiego organizmu, oczekującego na coś ważnego, co ma się stać za chwilę.

Zasłuchać się można tak godzinami całemi i czekać, wsłuchując się, czy horyzont stepu nie rozebrzmi krzykami głośnemi, brzękiem stalowych pancerzy, czy nie słychać tętentu cwałujących koni, — a może to meteor ognisty ma spaść za chwilę w ten park, cicho oczekujący na coś, co stać się musi koniecznie.

Na włosach czuję delikatne dotknięcie:

— „Dlaczego nie idziesz spać, już późno, jutro rano wstajecie na te wasze roboty“.

— „Och, mamusiu, świerszcze tak grają, niech mamusia posłucha“.

I Ty, Mateńko, słuchasz. Tyś przedtem już zasłuchała się w tej muzyce i dlatego mówisz do mnie szeptem, aby nie mącić rytmu tego grania.

—„Mamusiu, czy nie ślicznie grają świerszcze“? pytam, tuląc do twarzy kochane ręce.

„Ślicznie — ale musisz iść spać już“.

— „Tak, trzeba“! — i rzuciwszy ostatnie wszechobejmujące spojrzenie na posrebrzone drzewa i kwiaty, wzdychając idzie się do domu.

(D. c. n.).

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.

Komenda Chorągwi Warszawskiej, pragnąc pobudzić wszystkie podległe sobie drużyny do intensywniejszej pracy, ogłosiła zawody międzydrużynowe o tytuł i nagrodę wędrowną „Pierwszej Drużyny Chorągwi Warszawskiej“.

Zawody powyższe oparte były w całości, na pracy nie jednostek w drużynie, ale całych drużyn i zastępów. Po ukończeniu zawodów uznano:

Do zawodów w myśl rozkazu Komendy Chorągwi stanąć były winny wszystkie drużyny Chorągwi Warszawskiej.

Pierwszą Drużyną Chorągwi Warszawskiej jest, 5-ta Harcerska Drużyna im. Zawiszy Czarnego w Pruszkowie.

Drugą Drużyną Chorągwi Warszawskiej jest, 1-sza Harcerska Drużyna im. ks. J. Poniatowskiego w Mławie.

Trzecią Drużyną Chorągwi Warszawskiej jest, 1-szą Harcerską Drużyna im. ks. J. Poniatowskiego w Przasnyszu.

Czwarta Drużyna, Chorągwi Warszawskiej jest, 1-sza Harcerska Drużyna im. T. Kościuszki w Mińsku Mazowieckim.

Drużynom tym, które swą pracą zdobyły zaszczytne miejsca w gromadzie drużyn, tworzącyych Chorągiew Warszawską, składamy serdeczne życzenia owocnej pracy nad utrzymaniem zdobytych miejsc.

Zlot Hufca Wąbrzeskiego

W dniach 1 — 3 maja b. r. odbył się pod Wąbrzeźnem zlot drużyn należących do hufca wąbrzeskiego. Przybyły drużyny z Kowalewa, Golunia i Chełmży.

Dawno takiego ruchu w Wąbrzeźnie nie było. Zaroiło się na ulicach starego grodu biskupów chełmińskich od dziarskich postaci, obładowanych plecakami i kotłami. Za sztandarami przybyły zwarte szeregi ze śpiewem na ustach, zgromadzając dokoła siebie tłumy ciekawych. Okryci potem i kurzem po 3-kilometrowym marszu z dworca do miasta odpoczywali harcerze na rynku wąbrzeskim, gdzie wzbudzili wielkie zainteresowanie.

Po odpoczynku drużyny ruszyły do obozu, odległego od miasta o 3 klm. w lesie Czystochlebskim. Tam wrzało życie. Stawiano namioty, budowano szałasy, bramy i ogrodzenia. Wieczorem o godz. 8 wszystko było gotowe. Uroczysta zbiórka, raport komendantowi hufca, podniesienie sztandaru narodowego na wysoki maszt stojący w środku obozu i „Rota“. Obecnych było 125 harcerzy.

Po wiecerzy (kuchnie były wzorowo prowadzone zdala od obozu) przy wspólnem ognisku zasiedli wszyscy do gawędy — potem modlitwa pod zbudowanym specjalnie krzyżem i udanie się na spoczynek.

Cisza objęła obóz. Tylko czujne warty strażowały dokoła.

Nazajutrz, 2 maja, była niedziela. Drużyny pomaszerowały zaraz po śniadaniu do miasta na nabożeństwo, po którem na rynku nastąpiło powitanie komendanta Chorągwi Pomorskiej. Zebrało się wiele publiczności. Po przybyciu drużyn do obozu o godz. 11 rozpoczęły się zawody, trwające aż do obiadu. O 2 pop.

obóz otwarto dla publiczności. Zainteresowanie było wielkie, przyjechało i przyszło mnóstwo osób z miasta i sąsiednich wiosek.

Na polanę zajeżdżały co chwilę samochody, powozy i bryczki i coraz to nowi goście zwiedzali obóz. Swoją obecnością zaszczycili nas starosta, burmistrz, dyrektor gimn., inspektor, komendant policji, wogóle przedstawiciele władz, urzędów i szkół, nie licząc wielu prywatnych osób. Urządzenie obozu, porządek, jaki w nim panował, i wystawa prac harcerskich w postaci rzeźb, obrazów, pudełek z drzewa, zdobniczych przedmiotów i t. d., wszystko wzbudzało podziw.

Bo czego tam jeszcze nie było w tym obozie. Pokazywano nawet zawieszone u stropu szałasów aeroplany, któremi pono przybyli niektórzy harcerze, były tam na piasku wykreślone powitalne napisy, były zabawki dla dzieci i mnóstwo innych przedmiotów.

Słyszało się głosy, że tego ujrzeć nie spodziewano się.

Namioty i szałasy ładnie przystrojone, w obozie nawet takie wygody, jak ławki, które sami harcerze wykonali, przyjęcie kawą gości o godz. 5, nastrojowy krzyż z ogródkiem na uboczu, ćwiczenia i popisy drużyn, — gimnastyka, śpiewy i t. d., skupiały uwagę obecnych.

Najwięcej jednak podziwiano wytrwałość chłopaków, którzy nic sobie nie robili z zimna i zmęczenia.

Drużyny rozjechały się 3 maja podczas najgorszej pogody, a echa piosenek, z jakiemi maszerowały na kolej, długo jeszcze rozbrzmiewały po mieście.

Program zlotu był wypełniony i spełnił swoje zadanie.. Młodzież nasza spotkała się razem z różnych środowisk i ujrzała, co się robi i jak pracuje gdzieindziej. Harcerstwo zaś wzbudziło zainteresowanie u starszego społeczeństwa, wielu zmieniło swe zapatrywania i teraz już innem okiem spogląda na Harcerstwo.

Wogóle ciężkie tu mamy warunki pracy harcerskiej, znikąd poparcia ani pomocy. Ale tem się nie zrażamy, tylko robimy swoje. Może teraz będzie lepiej!

„Czarny Wilk“.

---

5 lecie naszej drużyny

Drużyna nasza, (3 M. z Chema) po raz pierwszy dopiero, w tym roku obchodziła święto założenia swego, a zarazem — pięciolecie swego istniena.

Na program tak wielkiej uroczystości złożyły się: 1 Lekcja gimnastyki (wstęp)
2. Herbata,
3. Przemówienie opiekuna drużyny.
4. Śpiewy,
5. Gawęda drużynowego na temat: Harcerstwo i jego dążenia,
6. Wolne wnioski — Dyskusja.

Na naszej uroczystości byli obecni wszyscy nasi profesorowie, z p. dyrektorem na czele. Czas mijał szybko, wśród pogodnego nastroju zebranych, od czasu do czasu słychać było śpiewy.

Podczas dyskusji najczęściej zabierali głos pp. profesorowie, a każdy obecny miał możność powiedzieć swoje zdanie.

Na tej uroczystości, pomiędzy drużyną — a gronem profesorskim, zadzierzgnął się węzeł braterski, który, jak twierdzi jeden pp. profesorów, będzie się pogłębiał.

Sprobujcie — Druhny i Druhowie,— a zobaczycie jakie zadowolenie odczuwać będziecie, po zetknięciu się ze starszymi.

Stanisław Wojtyś.
Kom. drużyny.

NASI HARCERZE we FRANCJI.

W Ostricourt w północnej Francji odbył się zlot hufca harcerzy polskich, w obecności delegata koła przyjaciół Harcerstwa w Paryżu, sekretarza koła P. Tadeusza Nittmana, proboszcza polskiego, miejscowego kleru, przedstawicieli dyrekcji kopalń i szeregu innych osobistości. Zebrało się z górą 300 harcerzy i harcerek. którzy, przyjęci entuzjastycznie przez ludność miejscową, wykonali szereg ćwiczeń i popisów, wykazując dużą sprawność techniczną i wielkie postępy na drodze rozwoju ducha narodowego.

HOJNY DAR.

Harcerze Hrubieszowscy dzielą się z nami radosną wieścią: oto pp. Kazimierz i Władysław Pohoreccy ofiarowali im 2 morgi łąki, gdzie ma powstać w najbliższej przyszłości boisko.

WIADOMOŚCI Z G. K. M.

Obóz żeglarski. Obóz żeglarski z nauką pływania i żaglokania urządza dh. Dr. Jakubkiewicz (Wejherowo, zakład Wychowaczy Dzieci Syberyjskich), na Helu w czasie wakacyj. Kilku starszych druhów poleconych przez odpowiednie komendy Chorągwi może uzyskać przyjęcie do obozu. Co do opłaty i innych warunków porozumieć się bezpośrednio z organizatorem obozu.

UWAGA: WAŻNE DLA DRUŻYNOWYCH!

Drużynowi, którzy nie nadesłali do Komend Chorągwi raportów przedwakacyjnych, uczynią to natychmiast, nie zwlekając dłużej, — w przeciwnym razie nie będą ich obozy wzięte pod uwagę przy podziale między wizytatorów, co ujemnie odbije się na kwalifikacji.

Ważne dla drużynowych. Miejsca na obóz.

I. W Górach, Nadleśnictwo Łąck, 7 kilometrów od Płocką szosą, las, nad jeziorem plaża. Drużyna, która rozbija tam obóz, będzie obowiązana dać afiarodawcy terenu pomoc przy urządzaniu parku leśnego (park ma być nazwany „Harcerskim“). W sprawie terenu zwracać się do p. Nagabczyńskiego, poczta Gostynin, Nadleśnictwo Łąck w Górach.

II. W Ukraince pod Żakowicami, koło Koluszek. Duże lasy, do użytku dom mieszkalny (duża sala 2 pokoje, kuchnia z kotłami). Na miejscu studnia, niedaleko jezioro i rzeka. Na miejscu można pożyczyć namiot, o który należy zwrócić się do Zarządu Kol. Letnich, Łódź—dr. Mogilnicki lub dr. Smoleński.

W sprawie terenu zwracać się do p. dr. Wieliczko, Warszawa, Hoża Nr. 42.

Od Redakcji. Oto przestaje wychodzić Harcerz na przeciąg 2 miesięcy letnich, miesięcy obozów i kursów! Druhny i Druhowie! obyście je jak najradośniej i najlepiej spędzili! wesołych wakacyj, dobrych łowów! CZUWAJ!

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego* Redaktor *T. Uhma*
Druk. „Współczesna, Warszawa, Szpitalna 10, tel. 193 95.